

Islandia – Całkiem sporo niczego

Gdzie – Islandia

Kiedy – wrzesień 2014

Kto – Asia & Paweł & Dzik & Aga

Siedzimy na pniach ściętych drzew, czekając na resztę uczestników wycieczki. Schodzimy z Rudawca do Domu Majów w Bielicach, gdzie nocujemy w ramach zdobywania kolejnych z 28 szczytów Korony Gór Polski wraz z osobami niepełnosprawnymi. Projekt nosi nazwę Razem na szczyty, a my właśnie umawiamy się, żeby pojechać razem na Islandię – Agnieszka, Jarek, Paweł i ja. Najwyższy szczyt wyspy Hvannadalshnúkur 2119 m n.p.m. czeka na dołączenie go do gór z innej Korony – Korony Europy.

Tanie bilety z Londynu do Reykjavíku i z powrotem warunkują termin wycieczki 1-11 września. Udaje się też kupić bilety powrotne z Londynu do Wrocławia, ale z Polski do Anglii nic w tym terminie i na naszą kieszeń na szczęście nie ma, a szukamy aż do ostatnich dni przed wyjazdem. „Na szczęście”, ponieważ przeżylibyśmy o jedną przygodę mniej. Pada bowiem decyzja, że z braku biletów lotniczych wyjeżdżamy z Polski kilka dni przed 1 września i próbujemy dostać się do Londynu Luton na stopa. W tym miejscu powinno dać się kliknąć w „Przygoda Nr 1” i przeczytać zupełnie osobną relację z tych kilku jakże emocjonujących dni autostopowania. Nie da się, więc uchylę tylko rąbka tajemnicy – jechaliśmy parami; pierwsi dotarli Aga z Dzikim, właściwie dzień przed wylotem i relaksowali się w Luton, my natomiast, jak przystało na statystycznych Polaków, dotarliśmy właściwie na ostatnią chwilę. [dopisek Dzika – dla mnie i Agi była to pierwsza autostopowa przygoda i niech za komentarz wystarczy to, że po dotarciu na lotnisko

stwierdziliśmy, że moglibyśmy już wracać, tyle było wrażeń. A dlaczego my cały dzień leżeliśmy na lotniskowym trawniku a nasi kompani walczyli o każde 10 km? Otóż jest niezwykle ważne w jaki dzień się podróżuje. Jeżeli traficie na dzień kiedy ciężarówki nie kursują to przestój gwarantowany. Zupełnym przypadkiem nam (żółtodziobom!) się udało. Paweł i Asia wyjechali nieco później i załapali się na pauzę, która kosztowała ich nieco stresu ale cóż to znaczy dziś? Przygoda!]

Z Wrocławia szczęśliwi wyjechaliśmy niemal natychmiast – zabrał nas bus z czterema wesołymi nurkami, w Niemczech ugościł kuzyn, a Francja zatrzymała na ponad dobę (!). Gdy tam właśnie, zaledwie 2,5 h jazdy od kanału La Manche, na pokonanie którego jeszcze nie mieliśmy pomysłu, kolejna godzina parkingowego błagania na klęczkach, leżąc i w pokłonach utwierdzała nas tylko w przekonaniu, że choć wszyscy jadą dokładnie w naszym kierunku, to nie mają miejsca w autach nawet na wciśnięcie szpilki, myśleliśmy, że jak już jakimś cudem nadjedzie puste auto gotowe zabrać nas i nasze dwa duże plecaki, to dalej będzie tylko łatwiej. Dobrze, że człowiek to istota wierząca, bo chociaż nic na to nie wskazywało, to właśnie ufność w dotarcie do Luton na czas nie pozwoliła nam poddać się przychodzącym do głowy pomysłom, że już jest na tyle późno, że może lepiej zmienić wakacyjne plany na Paryż albo Zamki nad Loarą... . Dotarliśmy do Calais (bardzo) kombinowanymi środkami transportu, a na miejscu spacerkiem ok 10 km dotarliśmy do terminali odpraw aut osobowych, gdzie przeganiani jak emigranci nie mieliśmy szans na „stopa”. Błądząc, znaleźliśmy terminal odpraw aut ciężarowych, gdzie od razu wzbudziliśmy zainteresowanie strażników i celników jako piechurzy przemykający wśród tirów. Była niedziela ok 20:00 (wylot z Luton nad ranem w poniedziałek), kolorowy zachód słońca, a my byliśmy ciągle we Francji i do tego na celowniku kilku mężczyzn z psami pokazujących nas sobie nawzajem palcami. Z tego etapu wycieczki nie mamy zdjęć, ale pozostał wyraźny zapis przygody w pamięci □ Przed 22:00 przeprawialiśmy się już przez Kanał La Manche z dwoma Polakami, którzy

właściwie zajechali nam drogę na parkingu, a my ubłagaliśmy ich, żeby nas zabrali. Potem jeszcze jeden Polak, który „przypadkiem” jechał trasą 4 km od lotniska w Luton (w życiu nie ma przypadków) i lekko po północy witaliśmy się z Dzikami na lotnisku. Toaleta, krótka drzemka i pobudka o 5:00, żeby się przepakować i zdążyć odprawić na samolot. Gdybyśmy po tych trudach dotarcia zaspali na samym lotnisku.... ☐

Reykjavik przywitał nas wiatrem, który był zapowiedzią islandzkiej wrześniowej pogody. Na lotnisku czekał Adam, którego, nawet gdyby nie trzymał kartki z nazwiskiem Pawła, poznalibyśmy, że to „swój” – wyszedł po nas prosto jak stał z warsztatu samochodowego. Osobom przesądnym nasze wypożyczone auto (pozdrawiamy chłopaków z polskiej wypożyczalni aut) od początku dawałoby znaki swojej awaryjności, ale na nas opadająca szyba pasażera nie zrobiła wrażenia na długo. Uwagę przykuł wyjątkowy, niespotykany dotąd wulkaniczny krajobraz, który zmieniał się co kilkadziesiąt kilometrów. Piękne wodospady, pola czarnych piasków wulkanicznych (całkiem sporo było tego niczego), grube poduchy mchów, a w końcu potężne lodowce i góry. I gorące wody!, które znaleźliśmy już pierwszego dnia wieczorem podczas spaceru, a już o poranku dnia drugiego widziały nas w strojach kąpielowych. Tam też, w mini gejzerkach, ugotowaliśmy jajka i ziemniaki na śniadanie hehe. Dzień, wybrany przez nas na zdobycie Hvanna, nie był trafiony pod względem pogody. Najwyższy szczyt na lodowcu zdobyliśmy poznając zjawisko white-out'u, a naprawdę zobaczyliśmy go dopiero nazajutrz z daleka, już w pięknym słońcu.

Co jeszcze na nas czekało? Acha, foki na lodowej lagunie, owce, duuużo owiec (nazwanych przez Pawła swetrami), wschody słońca nad oceanem, tęczę, wodospady, wodospady i jeszcze raz gorące źródła. No i jeszcze codzienna gimnastyka poranna, bramy na drogach pośrodku interioru, szutrowy odcinek autostrady, na którym zrobiliśmy sobie piknik, bo nic nią nie jechało, gejzery, gorące błoto pod nogami, kratery

wulkaniczne, niebieski hydrant i znaki drogowe pośrodku niczego. Hagrid – przygoda, ale bez szczegółów hehe i cudowne wspomnienie nocnych zjawisk nad wodospadem Godafoss – jednoczesny widok łuny z wulkanu Bardarbunga, zorzy polarnej i spadających gwiazd, w szumie wodospadu i ze wspaniałym towarzystwem obok. Wieloryba z ryżem na kuchence benzynowej w namiocie nie wspomnę tak samo jak islandzkich odcinków kulinarnych „Gotuj z Kudłaczem”. To wszystko w interiorze – centrum wyspy, które pokonać można jedynie sprawnym samochodem terenowym z napędem na cztery koła. No właśnie, sprawnym, reszta się zgadzała. A co jak jest niesprawny? Sytuacja jest wtedy nieco inna niż w pozostałych krajach europejskich. Tu nie wystarczy wyjść z auta, poczekać chwilę i machnąć ręką na pierwszy nadjeżdżający samochód, żeby poprosić o pomoc. Chociaż, czemu nie, wyjść można, ale czas oczekiwania wydłuża się z chwil do godzin niezależnie od częstotliwości machania ręką. Co więc robić? Dobra książka, jedzonko co dwie godziny (to jest plus sytuacji, można zachować regularność posiłków, ważne dla Agi hehe), drzemka, rozmowy, rozmowy, żarty. W osiem godzin od zgłoszenia ma szansę dotrzeć na pomoc ekipa Polaków z wypożyczalni aut (osiem, jak jesteście „blisko”). Hołowanie do pierwszej stacji benzynowej w dobrych humorach i ze śpiewem na ustach (Kubuś Puchatek i jego „Kilku kumpli” – oby nagrania z hołowania nie dostały się w niepowołane ręce!) i już można iść spać. Rano, po śniadaniu, zmiana aut – z bordowego na niebieskie – (porządna wypożyczalnia) i kolorowe góry z gorrrącą rzeką są w zasięgu stroju kąpielowego!!! Landmannalaugar na kilka godzin spaceru i gorącej kąpieli był nasz. Potem jeszcze raz wodospady, gejzery, owce, ostatni nocleg i powrót do domu już bez spektakularnych przygód. Wszystko było nam dane zobaczyć, oprócz maskonurów, więc trzeba kiedyś wrócić na wyspę, ale w sierpniu. A wisienką na torcie najlepszej wycieczki w moim życiu był pewien biznesmen w metalicznym garniturze i ciemnych okularach, który czekał na lotnisku we Wrocławiu na ekipę ICELAND EXPEDITION, co wyświetlał na ekranie laptopa hehe.

Islandia jest miejscem na Ziemi, do którego będę ciągle wracać, a właściwie mogłabym z niego nie wracać, natomiast najlepszą wycieczkę mojego życia zawdzięczam ludziom, bo to oni byli tam najważniejsi (nie musiałam przecież wcale lecieć na wyspę drugi rok z rzędu hehe). Tam jest przecież całkiem sporo niczego.

tekst: **Asia Ciołek**

[dopisek Dzika: dziękuję Asi za ten opis i że mogłem przeżyć to raz jeszcze. Uświadomiło mi to, że chcąc opisać wszystkie ciekawe, niezwykłe wręcz wydarzenia i wrażenia ta relacja zajęłaby 10x więcej miejsca. Ale zamiast się rozpisywać zachęcam do udania się tam i przeżycia tego samemu. Jak coś to Asia z chęcią pomoże! ☐]









